

## Dorota Przyłubska

## część I z III

Sygnatura notacji: **N0501**

Data urodzenia: **18.07.1964 r.**

Data nagrania: **27.07.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 59 min, część III: 25 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Dorota Przyłubska:** Dzień dobry. Nazywam się Dorota Przyłubska, mój mąż Teodor Klineciewicz, ale moje nazwisko zachowałam panieńskie, także posługuję się jednym nazwiskiem, chociaż wśród znajomych i w różnych sytuacjach oczywiście nazwiska męża też używam. Urodziłam się w Warszawie 18 lipca 1964 r., więc w ubiegłym wieku. Urodziłam się w Warszawie i właściwie jesteśmy w moim rodzinnym domu, w moim rodzinnym mieszkaniu. Jest to mieszkanie, w którym mieszka obecnie moja mama. Rodzice mieszkali na początku dwie klatki dalej, a potem to mieszkanie wynajęli. I właściwie całe takie moje dorosłe, dojrzałe życie, dopóki nie wyszłam z domu, to się właśnie toczyło tutaj w tym mieszkaniu. Mój pokój był tam z tyłu, z drugiej strony. Tutaj moja Szkoła Podstawowa 143 im. Stefana Starzyńskiego, jest dosłownie parę metrów stąd. Tak że jest to mi bardzo bliskie i ważne dla mnie miejsce. Jeśli chodzi o moje rodzinne wspomnienia i oczywiście coś, co jest niezwykle ważne ze względu na całe ukształtowanie człowieka, to muszę przyznać, że mój dom był bardzo szczęśliwy. Byłam jedynaczką, moi rodzice byli bardzo dobrym małżeństwem. Byłam wychowywana również przez dziadków, z którymi miałam bliski kontakt. Jedni dziadkowie mieszkali tu w Warszawie, Ewa i Feliks Przyłubscy, którzy byli autorami elementarza, który był po Falskim. Najpierw „Elementarz” Falskiego, a następny „Elementarz”, to był elementarz właśnie „Mam 6 lat”, autorstwa moich dziadków. Dziadkowie Przyłubscy mieli też bardzo duży wpływ na moje wychowanie. Dziadek był nauczycielem przedwojennym w gimnazjum w Radomsku. Był nauczycielem języka polskiego i wychowawcą braci Różewiczów, którzy zresztą utrzymywali potem, oczywiście obydwu żyjących, czyli Stanisław i Tadeusz, utrzymywali z dziadkami kontakty i zawsze zresztą o dziadku w swoich wspomnieniach też mówili, że był takim ich pierwszym nauczycielem, który też wywarł duży wpływ na ich życie późniejsze. Dziadkowie mieszkali na rogu Niepodległości i Trasy Łazienkowskiej w takiej przedwojennej kamienicy. Sprowadzili się tam już po wojnie, bo dziadek jak był oficerem i przeżył

oflag, potem w 1946 r. wrócił, wrócił do Radomska, skąd byli, ale potem przyjechali do Warszawy, bo tam już go relegowali oczywiście z tej szkoły. Ta szkoła zresztą była założona przez mojego pradziadka Fabianiego, więc też takie były rodzinne związki. Ale przyjechali do Warszawy, jeszcze mieszkali chyba na Żytniej, gdzieś tam, no w końcu zamieszkali w tych Alejach Niepodległości. I to też było bardzo ważne dla mnie miejsce, bo u dziadków często bywałam, jak rodzice gdzieś byli na jakichś różnych uroczystościach, wydarzeniach i imprezach, to ja właśnie u dziadków nocowałam. Byłam cały czas karmiona opowieściami o II wojnie światowej, o I wojnie światowej. Babcia opowiadała mi bardzo dużo o majątku swoim rodzinnym, gdzie też poznała mojego dziadka, bo on był jej nauczycielem, i potem się pobrali, więc te opowieści, tak nasiąkłam nimi od dzieciństwa, można powiedzieć. A dziadek z kolei był właśnie w oflagu, bo brał udział w bitwie pod Kockiem, potem trafił do niemieckiej niewoli, przeżył cały oflag, napisał też o tym książkę. Zresztą wspomnienia jak Niemcy ich, jak już szła Armia Czerwona, to Niemcy ich tam pognali w głąb Niemiec i wyzwolili go dzięki temu Alianci. Ale potem się zdecydował, pomimo różnych, wiadomo, zastanawiali się panowie, czy wracać, czy nie wracać. Niektórzy nie wrócili, dziadek się zdecydował wrócić. I tak jak mówię, ten dom dziadków był bardzo dla mnie ważny. Moi rodzice się poznali bardzo młodo, bo byli właśnie w gimnazjum, mieszkali wtedy na Ochocie, a tata chyba mieszkał wtedy na Woli. Mama chodziła jeszcze do obecnego liceum Słowackiego, ale wtedy, to chyba też było Słowackiego, ale wtedy to było żeńskie liceum. No i poznali się tam, jak mama chodziła właśnie jeszcze do gimnazjum i tata, bo tam różnica wieku między rodzicami była niewielka, rok. Wcześniej dosyć się pobrali i właśnie zamieszkali tutaj przy ulicy Brazylijskiej na Saskiej Kępie. Ten dom w roku, w którym ja się urodziłam, został akurat oddany do użytku. Tutaj podobno było w ogóle pusto i błoto, nie jeździł żaden autobus. Potem pojawił się autobus 111, który był też moim autobusem, którym zawsze wszędzie jeździłam, bo i do liceum, i na studia, na uniwersytet, tak że tutaj wszystkie te okolice są mi bardzo bliskie. Tata z kolei... Dziadkowie Przyłubscy, to byli oczywiście rodzice mojego taty. Tata skończył architekturę. – Tata jak miał na imię? Marcin. Skończył architekturę, był architektem i kończył architekturę w czasie, to były lata właśnie 60. Wielu jego kolegów wyjechało wtedy z Polski, też na fali wydarzeń marcowych, udziału, niektórzy właśnie byli zaangażowani bardzo i wtedy trochę musieli, byli trochę zmuszeni do tej emigracji. I ojciec mój też zaczął jeździć do Francji i tam pracował jako architekt. Wyjeżdżał tam zarobkowo. Udawało mu się, ponieważ wielu tych polskich architektów wtedy wyjechało, więc oni mieli jakieś kontakty między sobą i dzięki temu tacie się udawało pracować. Pracował w Rouen, to jest w Normandii, w takim mieście i tam, zresztą później w tym Rouen co jakiś czas jeździł, bo był zapraszany przez taką pracownię francuską i tam mu się udawało wyjeżdżać. A tu w Polsce z kolei pracował w jakichś spółdzielniach architektonicznych, potem jakiś czas pracował w takim, było wydawnictwo Fundamenty. To było takie branżowe wydawnictwo, nie stricte architektoniczne, bardziej takie z branżą budowlaną, no i zawsze, pamiętam były anegdoty, bo był jedynym, mówił – Tylko ja i pani sprzątaczką nie jesteśmy w partii. I go bez przerwy tam nagabywano, żeby się jednak zapisał, bo to mu się na pewno bardzo opłaci. No ale u nas w domu to było w ogóle nie do pomyślenia. Nie to, żeby rodzice byli jakimś wielkimi opozycjonistami właściwie do tych lat 80., ale no po prostu byliśmy tak wychowani, z takich środowisk wyszliśmy, że to było ciało obce zupełnie. Ja właściwie w tym się wychowywałam. Bo z kolei rodzina mamy, mama była chyba jeszcze bardziej taka antysystemowa, bo rodzina mamy, mój dziadek Walerian Gosek był przed wojną przedsiębiorcą, fabrykantem, miał dużo właśnie, i nieruchomości kupował i miał w Częstochowie taką fabrykę świec, co już mama wie, że fabryka świec w Częstochowie to był biznes. Potem był w Lublinie, mama pochodziła z Lublina, urodziła się w Lublinie. A mama mojej mamy, Janina, z domu Chatys. Później moi dziadkowie się rozwiedli zaraz po wojnie, co nie zdarzało się często w tamtych czasach, ale mieli nawet rozwód kościelny, także mój dziadek się

ożenił drugi raz. Mama była właściwie wychowywana przez swoją macochę, która to z kolei moja ciocia, bo mówiłam o niej ciocia, Maria Bigowicz z domu Mazurkiewicz, pochodziła z kolei z rodziny – jej ojciec miał przed wojną fabrykę w Baranowiczach, konserw, no i tam repatriowali w czasie okupacji jeszcze tutaj, bo ciocia brała udział w Powstaniu Warszawskim. I jej drugi mąż z kolei też brał udział w Powstaniu, więc też wychowywałam się, wiadomo... Co roku na 1 sierpnia chodziliśmy na Powązki i to było jakby już takim rytuałem, więc wiadomo było, że tego 1 sierpnia jest się zawsze w Warszawie i zawsze się idzie na Powązki, uczestniczy w tym, w czym można było jeszcze w tamtych czasach uczestniczyć. Ale ta pamięć Powstania i mogę powiedzieć, że to był taki mit założycielski trochę, że ten duch, wszystkie książki oczywiście, wspomnienia Powstańców itd. były jakby obowiązkowym kanonem lektur. Właśnie ta macocha mojej mamy, ciocia Marysia, jej pierwszy chłopak jak ona jeszcze była w tych Baranowiczach, okazało się później, że go znalazła na liście katyńskiej i on miał przy sobie, jak publikowano, co mieli jeńcy, to było właśnie zdjęcie mojej ciotki wymienione. Także takie opowieści, człowiek tym nasiąkał, więc jak to się mówi, z mlekiem matki wysysałam niechęć do tego systemu i jakiś taki, powiedziabym, duch trochę takiego oporu i buntu.

### **Artur Kłus: Mama jak miała na imię?**

**Dorota Przyłubska:** Mama ma na imię Danuta Gosek-Przyłubska. Używa podwójnego nazwiska swojego rodzinnego i po tacie.

### **Artur Kłus: Mama czym się zajmowała?**

**Dorota Przyłubska:** Mama jest bibliotekarką. Nie skończyła studiów, ale chodziła na Uniwersytet Warszawski na bibliotekarstwo i potem pracowała najpierw w Muzeum Sportu, które było jeszcze przy stadionie Skry. Bardzo ciekawe, chodziłam tam do niej, pamiętam, bardzo lubiłam to miejsce, bo to było w tej koronie stadionu zrobione i mama tę bibliotekę miała na samym końcu i szło się przez te wszystkie gabloty, całą wystawę, tam na koniec. A później zaczęła pracować w bibliotece Instytutu Historii Sztuki na Uniwersytecie. Instytut Historii Sztuki się mieści tuż obok starego BUW-u po prawej stronie, patrząc tak z przodu. A ja chodziłam do szkoły podstawowej tu obok, do Stefana Starzyńskiego, więc też historia Starzyńskiego była ważną historią i takie przywiązanie jednak. Tata urodził się w Radomsku, mama urodziła się w Lublinie, ale ja się już urodziłam w Warszawie i się czuję z tym miastem jednak bardzo silnie związana. Przez 8 lat chodziłam tutaj do tej szkoły, potem zdałam, dostałam się do liceum im. Wyspiańskiego, które się znajduje tu na Grochowie, przy ulicy Międzyborskiej. I to był rok 1979. Z mojego dzieciństwa takie pierwsze obrazy, to jest oczywiście podwórko, na którym się bawiłam. Miałam tutaj obok koleżankę. Bawiliśmy się z drugiej strony, bo tu był zawsze trawnik, a po drugiej stronie było takie klasyczne podwórko, gdzie miałam kolegów, koleżanki. Mama mnie oczywiście wołała z okna i zawsze nie chciałam przyjść, zawsze było to jeszcze przeciąganie tam, chociaż troszeczkę, żeby zostać. Trzepak, piaskownica, no klasyk po prostu. Właśnie szkoła tuż obok, bardzo blisko, więc nie było mowy o jakimś dojeżdżaniu. Tata pracował, w ogóle zawsze miał wolny zawód jako architekt i też pracował dużo w domu. Kiedyś pracował w biurze, ale w ogóle pracował dużo w domu i miał deskę kreślarską po prostu, więc ja się też jako dziecko wychowałam na desce kreślarskiej. Zawsze były kalki rozłożone, ołówek, jakaś ekierka, coś, także te moje wspomnienia z dzieciństwa pierwsze to była właśnie ta deska kreślarska na pewno. Dużo się o architekturze mówiło i myśmy zawsze jeżdżąc gdzieś na wakacje, zawsze coś zwiedzaliśmy, zawsze stare

cmentarze, kościoły, to musiało być zaliczone. Też w 70. latach byliśmy na takiej wycieczce we Włoszech, którą bardzo dobrze pamiętam, pomimo że byłam małym dzieckiem, ale zrobiła na mnie takie wrażenie... Samochodem, bo tata jak wyjeżdżał za granicę, to właśnie jedną rzecz, którą zawsze kupił, to był jakiś samochód, zawsze mieliśmy trochę lepszy samochód niż inni, bo przywoził właśnie z Francji te samochody. No bo oczywiście po trzymiesięcznej pracy go było na ten samochód w tamtych czasach stać. Mamie przywoził bardzo ładne ubrania, ja miałam też ładne, więc zawsze mieliśmy taki troszeczkę posmak od tej szarzyzny PRL-owskiej, takie trochę odbicie. I właśnie ta wycieczka do Włoch była fantastyczna, pamiętam. Dojechaliśmy do Rzymu, chyba do Rzymu żeśmy dojechali, wtedy jeszcze była taka też anegdotyczna historia, ale która pokazywała też absurdy tamtego czasu, bo jak byliśmy we Włoszech, to okazało się, że panuje gdzieś na południu cholera. Jak spotkaliśmy jakichś Polaków, którzy w autokarze, jeszcze jadąc w tamtą stronę, w kierunku Rzymu, pamiętam dokładnie w Cortinie d'Ampezzo, bo tam na kempingach mieszkaliśmy, oczywiście ze swoim jedzeniem itd. Puszka coca... nie puszka, wtedy chyba, nie wiem, czy... chyba już były puszki, ale czy butelka coca-coli to był jakiś w ogóle, prawda, rarytas, który się tam w czasie całej podróży raz czy dwa razy zdarzył. No i na tym parkingu w tej Cortinie d'Ampezzo ci Polacy powiedzieli – słuchajcie, jest cholera, trzeba się zaszczepić itd. No i dobrze, i wracając już w kierunku Polski, rodzice postanowili się zaszczepić i we Florencji żeśmy się zaszczepili. No i z tym szczepieniem na każdej kolejnej granicy pokazywaliśmy te zaświadczenia o szczepieniu. Nikogo to kompletnie nie interesowało. Jak wjechaliśmy do Czech, to pamiętam takie, właśnie dużo zapamiętałam takich obrazów z tego wyjazdu, tam oczywiście Koloseum, Forum Romanum, cała Florencja, Wenecja. Bardzo dużo tych wspaniałych wspomnień i taki powrót przez Alpy, gdzie spotkaliśmy zresztą, to też kolejna śmieszna historia. Wjeżdżamy na Grossglockner, na przełęcz, tam śnieg, pomimo że to było lato, jakaś końcówka lata i nagle patrzymy, jadąc po drodze, tam wzbijając się po tej serpentynie do góry, stoi syrenka żółta i ma otwartą kłapę, z której oczywiście dymi. Co się okazuje, nasz sąsiad z Brazylijskiej. [śmiech] Więc było to dosyć śmieszne spotkanie. No i potem wracając, wjechaliśmy do Czech. W tych Czechach się okazało, że tam z kolei była pryszczycza, więc jak wyjeżdżaliśmy, jak przetrzepali ten samochód na wszystkie strony, obok nas jakiegoś człowieka tak trzepali, pamiętam, to też takie wspomnienie z tych czasów komunizmu, wszystko mu odkręcili: koła, wszystko po prostu, więc ten biedny człowiek musiał to potem wszystko składać, a myśmy wyjechali z tej granicy, było już ciemno i nagle już wjechaliśmy w jakąś straszną dziurę i ojciec się przeraził, a co się okazało? Czesi uznawali, że mają pryszczycę i chodziło o taką dezynfekcję samochodu. Znaczący, nie było żadnych oznaczeń, nic, więc się wjeżdżało po prostu w ciemną dziurę, gdzie była jakimś strasznym płynem wypełniona dziura. I potem z tej dziury, jak już wyjechaliśmy, dojechaliśmy do polskiej granicy i byliśmy na polskiej granicy chyba w Cieszynie. I tam powiedzieli do nas tylko tak – z Włoch jedziemy. Tak przejrzeni tego, z Włoch – Dobra, to proszę paszporty oddać i państwo pojedą tutaj za tym samochodem. No i w ogóle ojciec wściekły mówi – Teściowa czeka w Katowicach z obiadem, my już wymęczeni, a panowie, o co w ogóle chodzi? No ale oczywiście nikt z nikim nie dyskutował. Powiedzieli, że mamy jechać za tym samochodem. To była karetka. No i za tą karetką pojechaliśmy. W jakim to było miejscu? No to właśnie gdzieś w okolicach Cieszyna czy Bielska, już nie wiem. No w każdym razie co się okazało? Zawieźli nas do sanatorium dla gruźlików, gdzie wydzielili jeden budynek, gdzie zamknęli cały personel w tym budynku, jak się okazało. I weszliśmy. Były tak, wszystkie klamki były obwinięte bandażem w lizolu. Nie można było z tego budynku w ogóle wychodzić. Ta lekarka jak przyszła do nas, to jakoś nam dali chyba oddzielny pokój. I tam się okazuje, wszystkie badania, analizy i w ogóle, no wymyślili sobie, że oni robią kwarantannę dla wszystkich, którzy z Włoch wracają. No i tam żeśmy spędzili chyba ze 3-4 dni w tym sanatorium, co oczywiście było prześmieszne, bo potem jak wróciliśmy

do Warszawy, to tata był umówiony z jakimś Włochem z Turynu, ponieważ miał Fiata 128 i tam z tym Fiatem było coś z lakierem i w tym Turynie tata załatwił, że oni coś tam nam jakiś lakier mają mu przywieźć, coś takiego i ten Włoch przyleciał jakieś dwa czy trzy dni po nas i oczywiście jakby nikt go ani nie pytał o szczepienie, ani mu żadnej kwantanny oczywiście nie robił. No więc to taka anegdota i to są takie smaczki z tamtych czasów, które pokazują skalę tych absurdów różnych. To jest moja mama, Danuta Gosek-Przyłubska, z naszym psem Biesem, Bies jak od Dostojewskiego. Mama w rękę trzyma książkę o KOR-ze Jana Józefa Lipskiego i to jest obok naszej działki, którą mamy sto kilometrów od Warszawy, koło wsi Odrzywół, gdzie mój tata zaprojektował dom dla swoich przyjaciół, taki czterorodzinny dom, a obok mamy swoją działkę, też taką niewielką. No i tam bardzo często jeździliśmy na wakacje i tam się zresztą też odbywały różne sytuacje, ponieważ jednym z właścicieli w tym domu jest przyjaciel moich rodziców, żyjący jeszcze, pan Aleksander Janiszewski, który był też zaangażowany, był kolejarzem i brał udział w takiej głodówce kolejarzy, bodajże to było we Wrocławiu, chyba w 1980 r. No i tam się bez przerwy odbywały jakieś knucia już w latach 80., ciągle ktoś przyjeżdżał, ale głównie to traktowano jako takie miejsce spotkań, gdzie się można było trochę wyizolować w tamtej sytuacji. A tu jest mój tata, tu na tym zdjęciu, w tym kapeluszu. To jest też właśnie tam koło Odrzypołu, w Lipowym, w tym domu, razem z Alkiem Janiszewskim. Tu jest Olek, tu pan Alek Janiszewski jest. I mój tata bardzo dobrze się czuł na tej działce, bardzo lubił to miejsce i tam rzeczywiście się relaksował i wypoczywał. No i wracając do tych opowieści, bo skończyłam na tym, zdaje się, wątek, że dostałam się do liceum Wyspiańskiego. I w tym Liceum Wyspiańskiego jak byłam, to właśnie już zaczynało się tak... A, jeszcze miałam takie ważne wspomnienie, a propos naszej sytuacji tutaj politycznej, że jak był 1968 r., to pomimo że byłam mała, wtedy miałam 4 lata, to moi rodzice jak były właśnie strajki te studenckie, pojechali samochodem, mój ojciec miał to takie Renault, albo Volkswagena Garbusa, już nie pamiętam, bo któryś z tych samochodów i pojechaliśmy tam zobaczyć, co się dzieje. Mama była bardzo przejęta, bo to pamiętam właśnie, jako takie wspomnienie dziecka, takie jak przez mgłę. Bardzo przejęta i trzymała mnie tak, odwracała się cały czas do tyłu czy łapała mnie za rękę i mówiła do mnie, ona mnie uspokajała, ale tak naprawdę siebie uspokajała. I pamiętam właśnie jakieś takie jak przez mgłę, jakichś ludzi biegających, tę milicję... To było takie bardzo silnie poruszające, takie traumatyczne wręcz wspomnienie. Potem jak były te w 1970 r. wydarzenia, no to oczywiście też wszystko... No ale to już bardziej takie z telewizji, no bo to Wybrzeże, więc ten Gierek słynny z tym „pomozemy”, to wszystko... Był jeden program telewizyjny, w związku z tym to się oglądało i komentowało zawsze. A jeszcze z takich właśnie wspomnień z dzieciństwa, które były dosyć zabawne, taką tragifarsą tamtych czasów, to ja bardzo często wyjeżdżałam na wakacje z moją babcią, matką mojej mamy, a moja babcia mieszkała wtedy na Śląsku, Janina Chatys, znaczy, Gęczarska, po drugim mężu. U nas takie koligacje rodzinne, mężowie się trochę zmieniali, więc nazwiska też. I babcia ze mną jeździła, babcia miała, to była tzw. prywatna inicjatywa, bo ona ze swoim drugim mężem mieli sklep w Bytomiu, taki sklep w Bytomiu, w którym mieli wózki dziecięce, do których ja też uwielbiałam jeździć, bo dziadek mi tam pozwalał stawać, sprzedawać, bo ja mówiłam dziadku do męża mojej babci. Babcia taka była, miała oczywiście jednoznaczne przekonania itd., no ale była ostrożna, bo jako prywatna inicjatywa, spodziewała się różnych rzeczy. No i pojechała ze mną kiedyś... Tata załatwił w Białowieży. Nie pamiętam, co to był za ośrodek, pojechaliśmy w zimie do Białowieży. I tam przyjechał również znajomy taty, pan Kumant. Ja nie pamiętam imienia pana Kumanta, w każdym razie on był bardzo zaangażowany w tzw. listy katyńskie, no w każdym razie upamiętniania Katynia, te na Boromeuszu, które były robione tablice. Nie wiem, czy ktoś z jego rodziny tam zginął, w każdym bądź razie on był bardzo w to zaangażowany. Był z córką, córka była taka trochę niepełnosprawna. No i ja strasznie dużo czasu z nim i z tą córką spędzałam i polegało to na tym, że np. jeź-

dziliśmy na sanki i on cały czas nas karmił, tworzył opowieść, oczywiście jako dziecko byłam tym zachwycona, o Rosji, gdzie tam jak już się zaprzęga żonę do domu... W każdym razie bardzo był jednoznacznie krytyczny wobec systemu, tudzież miał ze sobą w ogóle jakieś dokumenty. I pewnego dnia okazało... Aha, myśmy z nim cały czas pisały jakieś gazetki, jakieś gazetki, oczywiście bardzo krytycznie wobec władzy ówczesnej. No i któregoś dnia przyjechała po prostu milicja, wzięli panie z recepcji, czy jakąś kierowniczkę ośrodka i zrobili mu klasyczną rewizję w tym pokoju. Wszystko po prostu powyciągali. On tam, nie wiem, czy zdążył coś ukryć, zniszczyć itd., i pozabierali. I tam były również te nasze historyjki, gdzie oni bardzo skrętnie je wszystkie zabrali i opisali jako „notatki córki o różnej treści antysocjalistycznej. [śmiech] No więc babcia była taka trochę jednak lekko, może nie była wystraszona, bo ona była odważną kobietą, ale tak przez moment miała trochę nerwów, czy coś z tego dalej, jakieś konsekwencje będą. No ale właśnie tego typu historie tak mnie powolutku, powolutku kształtowały. I w 1979 r., jak poszłam właśnie do Wyspiańskiego, to miałam bardzo fajną klasę, bardzo inteligentnych, fajnych ludzi. M.in. Darek Gawin ze mną chodził do klasy, wicedyrektor Muzeum Powstania. Tam pamiętam taką historię, mieliśmy historyka, który był osobą partyjną, pan Żytkiewicz, ale jednocześnie taką próbującą być otwartą. I już dużo się działo. Bo pamiętam jak dziś, że była taka sytuacja, że ktoś przed szkołą rozdawał ulotki. I my się następnego dnia przyszli i jak dziś pamiętam właśnie ten pan Żytkiewicz, to był starszy człowiek, powiedział do nas, że on nas bardzo prosi, żebyśmy mu te ulotki oddali, bo to jest próba manipulacji młodych ludzi, że nas tutaj ktoś wkręca w jakieś takie sytuacje, a to jest bardzo niebezpieczne. I cała klasa powiedziała – Nie, nic panu nie oddamy. I żeśmy żadnych ulotek mu nie oddali, chociaż oczywiście tam niektórzy, wiadomo, że wiele osób było, które się bały i tam pewnie to od razu czy zniszczyły, czy już nawet nie wzięły, nie wiem. No ale w każdym razie to było jedno z pierwszych takich zderzeń już z jakimiś takimi opresjami. I później jak był Sierpień, to ja powiem szczerze, że ja tak z Sierpnia to wakacje itd., więc ja aż tak tych wydarzeń nie pamiętam. Moja mama była bardzo zaangażowana, się zapisała do „Solidarności” oczywiście, bardzo to przeżywała. Tata był bardziej sceptyczny, bo mój ojciec, jeżdżąc do Francji, mówił coś takiego, to teraz ja sobie to otworzyłam po latach, że on zwraca uwagę na taką rzecz, że ten system na zachodzie wcale nie jest taki idealny i że ten kapitalizm to nie jest taki różowy do końca. Oczywiście doceniał wszystko i zresztą lubił właśnie tę stronę estetyczną życia też bardzo. I też strasznie cierpiał z tego powodu, że miał jako architekt straszliwe ograniczenia, potem wielką płytę wprowadzono i dla ojca to było zawsze... I zawsze zresztą jak pracował w jakiejś instytucji państwowej, no bo były tylko państwowe, to zawsze wychodził, właściwie trzasnąwszy drzwiami, bo się nie potrafił też dostosować do tego wszystkiego. A jeszcze pracując właśnie we Francji, mając kontakty ze swoimi kolegami, którzy w większości na zachodzie zostali, to po prostu widział niesamowity rozrzut i te gigantyczne różnice, które są również w takiej pracy twórczej. No i potem tak, no rzeczywiście ten Sierpień był bardzo burzliwy, no wiadomo. Aczkolwiek ja mówię, z takiego samego okresu „Solidarności”, to nie pamiętam za wiele ani ze strajków, ani nic. Oczywiście to się dużo działo i w moim domu się ciągle o tym mówiło. Ale w 1981 r., jak wybuchł stan wojenny, to już tutaj powiem szczerze, że moje zaangażowanie po prostu wzrosło w piorunującym tempie, bo przeżyłam wtedy jakieś takie tak potworne uczucie takiej właśnie niesprawiedliwości, jakiegoś takiego buntu wobec tego, że tak... Bo jednak ten karnewał „Solidarności” był, oczywiście to potem się już zaczynało zagęszczać, ale on był tak... Jednak dał taki oddech ludziom i mówię, w moim domu tak to było entuzjastycznie niezwykle przyjmowane, że jak ten stan wojenny wybuchł, myśmy z rodzicami też wtedy pojechali, pamiętam, samochodem. A, w ogóle tak, jeździłam na konie za Warszawę do Falenicy. To było takie gospodarstwo i tam ojciec mojej koleżanki trzymał konie, które były zresztą do filmu wypożyczane itd. Ja namiętnie jeździłam na te konie i byłam umówiona z drugą koleżanką i poszłam na przystanek przy

ulicy Paryskiej, skąd zawsze jeździłam, to tam na Wał Miedzeszyński i miałyśmy pojechać właśnie na konie. Przyszłam, był siarczasty mróz. Cisza w ogóle, nic nie jeździło, ta koleżanka nie przyszła, odczekałam, żaden autobus nie przyjechał, wróciłam do domu, okazało się, że wszystko wyłączone już. Wiadomo, pan w czarnych okularach w telewizji. No i rzeczywiście taki stan, w ogóle nikt nie wiedział, co będzie dalej, co się będzie działo itd., więc mama oczywiście we łzach cała. Pojechaliśmy na miasto i na mieście, to pamiętam doskonale te wozy opancerzone i tych żołnierzy przy tych koksownikach, śnieg był, takie hałdy śniegu i tak pamiętam właśnie gdzieś tam koło „Rivieri”, w tych okolicach. To było rzeczywiście jednak szokujące. No i taki narósł we mnie, takie straszne poczucie, że nie wyobrażam sobie, żeby w tej sytuacji nic nie robić i żeby się z tym wszystkim jakoś pogodzić. A jeszcze pan się pytał w ogóle o to, jak tutaj to wyglądało, to może jeszcze powiem parę słów, że tak, te bloki, tak jak już powiedziałam, powstały w 1964 r., ulica Brazylijska była wyłożona chyba takimi trylinkami, ona była już jakoś tam... Ale dookoła było właśnie wszędzie pełno błota, bo to moja mama też wspominała, że właściwie wszędzie było błoto. No i taka cywilizacja zaczynała się na starej Saskiej Kępie, czyli w okolicach ulicy Francuskiej. I tam na ulicę Francuską bardzo często z mamą chodziłam. Pamiętam, że Osiecką tutaj też oczywiście widywałyśmy, zresztą na Kępie dużo znanych osób mieszkało, i Suzina i... Już w tej chwili nie przypominę sobie kto. Szczepkowska tam zawsze była. Dużo było znanych osób. Tu obok nas mieszkała w klatce, obok mieszkała pani Sława Przybylska, z którą ostatnio wywiad widziałam i się naprawdę niewiele zmieniła i zresztą też bardzo miło wspominała to. I mieszkali tacy państwo Szczyglowie, on był kompozytorem i taki zespół „Ptaki” był. I oni właśnie z tą Sławą Przybylską się znali i z nimi się też często tutaj spotykaliśmy. Bardzo mili ludzie. No i tam na tą Francuską ześmy z mamą bardzo często chodziły. Bistro było tutaj przy skrzyżowaniu ze Zwycięzców, niedaleko. I ta Francuska była taka właśnie też zawsze inna, była taka kameralna, przyjemna, kulturalni ludzie, wszystko było takie troszkę inne. Także wychowałam się właśnie na tej Saskiej Kępie i to jest taki mój matecznik, bym powiedziała. A jeszcze udało nam się z mamą po latach odzyskać taką kamienicę, którą mój dziadek kupił na ulicy Zwycięzców, właściwie niecałą kamienicę, bo tam już część mieszkań było sprzedanych, tam dwa mieszkania czy trzy się zostały, więc to też było takie miejsce. Zawsze koło tej kamienicy chodziłam, bo tam na dole jest fotograf, gdzie jest pani też Osiecka nomen omen, ale nie z tych Osieckich. I to było takie miejsce, gdzie wszyscy robili zdjęcia obowiązkowo, także pani Osiecka, która pracuje do dzisiaj. I jak wybuchł właśnie ten stan wojenny, jak opowiadałam, z rodzicami zrobiliśmy taki tour, jakoś wtedy jeszcze ten ruch chyba nie był wstrzymany, bo można było pojechać. Zresztą właściwie nie pamiętam tego, czy samochody mogły jeździć, czy nie, ale w każdym razie to było takie rzeczywiście wrażenie piorunujące. I ja bardzo szybko zaczęłam jednak myśleć i mówić też mojej mamie, ale właściwie sama tak zaczęłam kombinować, że ja jednak muszę coś robić. Bardzo czułam jakiś taki imperatyw, no byłam wtedy dopiero chyba druga klasa liceum, że konieczne jednak chcę coś robić. Takiego miałam wtedy narzeczonego chłopaka, Bartka Szymańskiego. Bartosz Szymański się nazywał i on chodził do liceum Mickiewicza, tutaj obok. I w tym liceum Mickiewicza była bardzo nieciekawa pani dyrektor, która bardzo nie lubiła zmian i opozycji, nie pamiętam jej nazwiska. W każdym razie na początku stanu wojennego on z kolegą, bo to rzeczywiście była ich robota... A, i oni go z tej szkoły relegowali. On prawdopodobnie miał w ogóle dysleksję, w związku z tym miał kłopoty, o których wtedy się nie mówiło, miał kłopoty różne ze szkołą i z nauką i ze szkoły go wyrzucono, ale on z jakimś kolegą namalowali jakiś napis. Tam „Komuna skona”, czy już nie wiem, co tam było, czy „Precz z komuną”. I ona go zadenuncjowała na milicję, tzn. jak przyszła milicja, to ona jego wskazała jako osobę, która ten napis zrobiła. Myśmy byli młodzieńkami ludźmi, nie byliśmy jeszcze pełnoletni wtedy. I Bartka zabrano tu na... Boże, jak się nazywa ta komenda tutaj niedaleko? Na Grenadierów na komendę i tam na dołku się przesiedział. No i ja mu alibi miałam dać,

więc tutaj przyszedł pan dzielnicowy czy jakiś. Tu wszędzie bibuła była gdzieś poutykana no i żeśmy z mamą mówiły, że Bartek oczywiście w tym czasie tu był i w ogóle. Więc wypuszczono go wtedy. Bartek, jak go z tej szkoły jeszcze właśnie przed 13 grudnia, jak z tej szkoły go wyrzucono, zaczął pracować jako goniec w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów w siedzibie NZS-u na Szpitalnej i tam poznał właśnie mojego męża, Teosia, który był wiceprzewodniczącym NZS-u. I jak ja właśnie tak cały czas go męczyłam, mówię – Słuchaj, ja muszę coś robić, ja chcę coś robić itd. I on któregoś dnia przyszedł do mnie i mówi – Wiesz co, spotkałem swojego szefa – mówi – Teosia. Tu na Saskiej Kępie, już go dokładnie nie pamiętam, gdzie go spotkałem, on się ukrywa. No i mówi, wiesz co, no dobra, to ja pogadam itd. No dobra, no i za jakiś czas przyszedł do mnie i mówi – No dobrze, załatwiłam ci robotę. Acha, oczywiście jeszcze wcześniej chodziliśmy na wszystkie manifestacje, na jakie można było. Wcześniej, później, bo to już tak nie umiem tego podzielić, w każdym razie chodziliśmy na manifestacje. Pamiętam, że byliśmy chyba na manifestacji 3 maja na Nowym Mieście. Wysiedliśmy na placu Krasińskich i szliśmy do mieszkania znajomej, która miała pracownię taką plastyczną na Freta chyba i stamtąd mieliśmy robić zdjęcia. Bartek miał statyw i aparat. No i pamiętam, że szli zomowcy w tych woalkach, myśmy to nazywali. No i nas oczywiście vyhaczyli od razu. I pamiętam jak dzisiaj, jak ten zomowiec rzucił się tak na ten statyw i mówi – Biała broń, biała broń. Więc po prostu wszystko było tragikomiczne, wszystko razem. Jak zobaczyli ten statyw, jakoś chyba nam nie zabrali tego aparatu, jakoś o dziwo. A ja jeszcze, żeby było śmiesznie, to miałam coś tam do przebrania, bo liczyliśmy się z tym, że nie będziemy mogli wrócić w nocy, bo zawsze godzina była policyjna, jak były manifestacje, czy coś się działo. Tak chyba było, no w każdym razie zakładaliśmy, że nie będziemy, więc miałam coś na zmianę. I człowiek też taki był śmieszny, miałam bandaż jakiś, czy jakieś środki opatrunkowe na wszelki wypadek, prawda, wychowana na tych powstańczych wspomnieniach. No i oni to wszystko powyciągali, bardzo na nas dziwnie patrzyli, ale jakoś nas o dziwo puścili. I żeśmy poszli tam, pamiętam, siedzieliśmy i tam to wszystko, zresztą chyba nawet właśnie sporo zdjęć wydaje mi się, że zrobił wtedy z tych wydarzeń. No i on mnie właściwie poznał z Teosiem, przy czym najpierw ja pamiętam, że się spotkałam, moje pierwsze spotkanie to było spotkanie z Bogusławem Kocem, który współpracował z Teosiem, też się chyba znali z NZS-u, nie wiem dokładnie, ale to przeważnie były takie kontakty ze strajków itd. Zresztą mój mąż jeszcze przed 1980 r. współpracował z KOR-em i wydawał „Robotnika”. No i spotkałam się z Bogusiem Kocem i on powiedział – Słuchaj, jest robota w sekcji legalizacji. Znaczący, czy on mi to tak wtedy naświetlił, ale w każdym bądź razie wiedziałam, że to dotyczy właśnie noszenia nielegalnych dokumentów, czyli tej sekcji, która się zajmowała wytwarzaniem tych wszystkich dokumentów dla osób ukrywających się, no głównie dla ukrywających wtedy na początku. I spotkałam się z nim, pamiętam, w blokach przy ulicy Afrykańskiej, czyli po drugiej stronie Trasy Łazienkowskiej i on mi dał pierwszy dowód i to był właśnie dowód mojego męża, Teosia, oryginalny chyba jego dowód, bo on miał oczywiście tam potem inną tożsamość, bo się ukrywał przez trzy lata. I to był chyba jego prawdziwy dowód, mi się tak wydaje. A dlaczego on mi dał akurat ten jego dowód, to tego już naprawdę nie pamiętam. W każdym razie było tak, że myśmy się poznali już potem. To był taki bardzo ważny czas, chyba taki najważniejszy w tej mojej działalności, bo to było właśnie od 1982 r., to był chyba jakiś taki przełom wakacji, jesieni, do marca 1983 r. A może to już było trochę wcześniej, może to było wcześniej nawet, może to było jeszcze przed wakacjami, bo spotykaliśmy się na osiedlu za Żelazną Bramą, przy Jana Pawła II. Tam spotkaliśmy się w mieszkaniu pana Andrzeja Solskiego, który był z nas najstarszy i który był pracownikiem Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, to pamiętam. Bo okazuje się, że on miał chyba jeszcze jakieś doświadczenia z okresu okupacji, fałszowania właśnie dokumentów. Do dziś pamiętam, że potrafił podrobić bilet tramwajowy. Miałś jakąś ten... i takimi dosłownie kropeczkami ten bilet

był w stanie podrobić. Tam się spotykaliśmy raz w tygodniu, taka była zasada. Chyba to były poniedziałki. Ja chodziłam do Instytutu Francuskiego, który wtedy się znajdował na ulicy Świętokrzyskiej w budynku, który już jest wyburzony właśnie teraz, niedawno został wyburzony. Tam miałam po prostu zajęcia z francuskiego. I po tych zajęciach jechałam tramwajem do moich dziadków właśnie na aleję Niepodległości. U nich coś tam jadłam, chwilę siedziałam. Babcia mi zawsze, pamiętam, krzyżyk na czole robiła, bo ja dziadków wtajemniczyłam tak mniej więcej. Właściwie to wtajemniczona była moja mama, no bo to siłą rzeczy to się nie dało tutaj tego ukryć. Tata też, no i właśnie dziadkowie. I jechałam z powrotem do tego mieszkania. Teoś zawsze, mój mąż, przychodził ostatni, bo zawsze był spóźniony, bo zawsze miał tysiąc różnych spraw itd. Zawsze mówił... Aha, i tam był właśnie Boguś Koc, Andrzej Solski, mój mąż. Na początku tej działalności poznałam jeszcze Jacka Eberta, takiego grafika, ale potem już nie, u którego byłam raz w mieszkaniu gdzieś tu w starej kamienicy w Śródmieściu i pamiętam, że on wtedy chodził w oficerkach, wszystkie były jednak starsze ode mnie osoby, chodził w tych oficerkach i pamiętam, że w mieszkaniu miał skrytkę gdzieś pod klepką w podłodze. Ale potem już z Jackiem nie współpracowałam. Natomiast właśnie Boguś, Andrzej Solski, mój mąż i właściwie w tej naszej sekcji legalizacji to byliśmy, tylko ja miałam kontakt tylko z nimi. No i dostawałam jakieś dowody, które gdzieś potem nosiłam. No i tutaj w domu te dowody gdzieś były, ciągle były jakieś pomysły, gdzie je schować. Więc oczywiście zamrażarki były przerabiane. Potem moja mama miała taką kasetę, zresztą do dzisiaj jest właśnie ta szafka taka, bo tata kiedyś coś projektował we Włocławku i z fabryki we Włocławku dostał różne rzeczy, w tym m.in. takie kafle robione specjalnie na zamówienie. Z tych kafli zrobił stół i jak jest szafka, to te zewnętrzne od szafki, od tych szuflad właśnie z kafli były zrobione, nakładane... – Obicie. – Obicie, dobrze mi pan powiedział. I tam mama trzymała jakieś przyprawy i między tymi przyprawami były poutykane te dowody. No i kiedyś właśnie moja babcia, czyli matka mojej mamy, przyjechała z tego Śląska i coś tam szukała, coś gotowała i wyciągnęła nagle. I mówi tak – Danko, co w ogóle, o co to chodzi? Także było zabawne. Kiedyś też miałam taką sytuację, bo sobie między koleżankami ciuchy pożyczałyśmy. I kiedyś moja koleżanka, zresztą też z bardzo porządnego domu, tam rodzice też byli bardzo w porządku itd., więc nic się strasznego nie wydarzyło, ale właśnie się wymieniałymy jakimś płaszczem czy kurtką i ona się zajrzała do kieszeni i wyciągnęła stos dowodów, ale bardzo udała, że w ogóle nic nie widziała. No i tak chodziłam z tymi dowodami po Warszawie. Bardzo dobrze znałam topografię Warszawy, wtedy nie było nawigacji. Trzeba było się dostawać w różne miejsca. To było zawsze najbardziej stresujące. Jak się gdzieś szło do jakiegoś mieszkania, no i w tym mieszkaniu nigdy nie wiadomo było, co się za drzwiami zastanie. I ja pamiętam, że sama wpadłam na taki pomysł, jak są skrzynki z licznikami na klatkach, to ja wkładałam przeważnie tę przesyłkę do takiej skrzynki, dopiero dzwoniłam gdzieś, jak było wszystko w porządku, to te rzeczy brałam, żeby nigdy tego po prostu przy sobie nie mieć. Natomiast pomysły na hasła itd. były tak absurdalne, bo wszyscy... Pamiętam, że było hasło „Czy zamawiała pani karnisze u Popławskiego?”. No bo wtedy ogłoszenia były w gazetach takie i karnisze to było coś bardzo popularnego, ponieważ takie rzemiosło kwitło i takie usługi różne, przy tym, że nic nie było, m.in. te karnisze wszyscy właśnie, nie wiem z jakiego powodu, więc „Czy zamawiała pani karnisze u Popławskiego?”. Ja mówię, no dobra, do mojego męża, wtedy jeszcze nie męża, do Teosia mówię – No ale słuchaj, przecież to jest absurdalne, przecież oni zaczną drżać, co ja mam z tymi karniszami wspólnego? Jak mnie złapią, to powiedzą, no to dobra, gdzie ten Popławski? No więc mówię, to jest jakieś po prostu kretyńskie hasło. No i wymyślałam, że znalazłam, że jest ogłoszenie o korepetycjach, czy tam właśnie w nauce francuskiego i że taki adres, wtedy nie każdy miał telefon itd. No więc wymyśliłam sobie, że w razie czego będę mówiła o tych korepetycjach. No i tak woziłam te dowody. Już powiem szczerze, że tak tego dokładnie też nie pamiętam. W każdym bądź razie wio-

sną, w marcu 1983 r. ... Aha i zawsze, jak kończyliśmy, no to ja z moim mężem, mówię cały czas mężem, z Teosiem szłam go odprowadzać i szedł do taksówki, która była przy Chłodnej, bo tam był postój taksówek. I on tam szedł do tego postoju, a ja go odprowadzałam i potem wsiadałam sobie w autobus, a czasami on mnie gdzieś podwoził, z tego, co pamiętam. – Sekcja legalizacji, czyli panowie wyrabiali te dokumenty, a pani zabierała dokumenty, dostawała pani informacje o adresie i dostarczała w odpowiednie miejsce. – Dokładnie tak to wyglądało, tak. Boguś Koc był fotografem i on robił zdjęcia. Andrzej Solksi się znał fantastycznie na podrabianiu, więc on podrabiał te wszystkie pieczątki z tego, co pamiętam. Zresztą myślę, że Boguś Koc te techniczne sprawy dużo lepiej pamięta niż ja, a ja to po prostu później rozwoziłam w różne miejsca. – M.in. taki dokument otrzymał Zbigniew Bujak, tak? – Tak, Zbyszek Bujak dostał ten dokument. Ja jego dokumentu nie miałam w ręku, dla niego podrabianego, z tego, co pamiętam, ale Janka Narożniaka na pewno miałam i też Frasyniuka. To też pamiętam, że nie wiem, dlaczego ten Frasyniuk z Wrocławia, ale pamiętam, że ten dokument dla Frasyniuka miałam. Nie wiem, czy też dla Rulewskiego nie było, to już tego nie pamiętam. Pamiętam Narożniaka i Frasyniuka, to pamiętam doskonale, że te dowody, bo to takie było dla mnie też bardzo... taki ciężar gatunkowy to miało. I tam były różne dokumenty też podrabiane, bo tam jakieś przepustki były też podrabiane. No wtedy wszędzie trzeba było mieć jakąś przepustkę, więc różne rzeczy podrabialiśmy. Wiem, że Teoś współpracował w ogóle z jakimiś takimi panami z Pragi, którzy się trudnili, wiadomo, takim procederem, ale którzy też i współpracowali, albo odpłatnie też zawsze świadczyli swoje usługi. I tam pamiętam, że na tę Pragę żeśmy nawet kiedyś chyba jeździli, ale mówię, to są rzeczy, które niestety już mi się bardzo dużo zatarło, więc jakby tych adresów... To też było coś takiego, że człowiek tak podświadomie jakby resetował z głowy pewne rzeczy. Z jednej strony miałam fantastyczną pamięć do numerów telefonów, nigdy nie miałam żadnych notatek, nic zapisane absolutnie. No i zawsze nosiłam te dowody i to był zawsze, no to był największy stres tak naprawdę. Pamiętam, że miałam jakieś takie buty, takie kozaczki, tak do połowy łydki i nosiłam czasem w tych butach te rzeczy. Także nigdy nie miałam tego dużo, ale jednak, prawda, no to już była kryminalna sprawa jednak, fałszywe dokumenty.

### **Artur Kłus: A Jerzy Gumowski też?**

**Dorota Przyłubska:** Jurek Gumowski tak, tylko że ja go wtedy nie poznałam. Potem go poznałam przy innej okazji, natomiast tam nie mieliśmy ze sobą styczności. Te anegdoty pamiętam najbardziej [śmiech]. Bo np. kiedyś przyszłam do tego Andrzejka Solskiego, bardzo go lubiłam. Potem w ogóle straciłam z nim kontakt i powiem szczerze, nie wiem, co się z nim stało. On był już starszym człowiekiem, więc mieszkał w takiej kawalereczce sam, za tą Żelazną Bramą. Też nawet nie odtworzyłabym tego miejsca dokładnie, który to był z bloków, która to była klatka. On robił na drutach, miał taką słabość. Ja też pamiętam, że robiłam wtedy, bo wszyscy na drutach, bo nic nie było, no więc tak człowiek sobie robił jakieś, prawda, coś takim własnym sumptem. Więc siedzieliśmy, on tam robił, ja też tam dziergałam. Kiedyś przyszłam i jest jakaś pani, a ona mnie wpuszcza i tak daje mi lekko sygnał, że to nie jest od nas osoba. No więc ja oczywiście - Dzień dobry. Tak za przeproszeniem o dupie Maryni, a o pogodzie, a czymś tam itd. Ona tak na mnie się spojrzała dosyć bystro. No ale dobrze, nie dociekała za bardzo. I co się okazało, to była jego koleżanka z pracy, która przyszła do niego. Kiedyś jak robiono na drutach, to np. wyrabiano wzory. Tu panowie pewnie nie wiedzą za bardzo, o co chodzi, ale wrabiało się wzory. I te wzory wyrabiało się według wzorów, które były rozrysowane na kartce po prostu takiej w kratkę i krzyżykami się tam zaznaczało, jak się tam zmienia nitkę itd. Ponieważ to było z jakichś pism różnych itd. i ona przyszła do niego przerysowywać te wzory wrabiane na drutach. I pamiętam, że tak

była ciekawa, kim ja jestem, że nie chciała w ogóle wyjść stamtąd. [śmiech] I siedziała cały czas. Bo między nami, mówię, była bardzo duża różnica wieku. Ja byłam bardzo młoda, przecież byłam w liceum wtedy. Jakaś dziewczyna, ona w ogóle nie mogła dojść, o co tu chodzi. No ale pamiętam, że poszła w końcu i nas zostawiła. A mój mąż zawsze wpadał spóźniony, zawsze z rozwichrzonym włosiem i mówi tak – Ja tu muszę zrobić porządek – w archiwum, bo myśmy tam mieli takie archiwum, gdzie były różne te dokumenty, jakieś rzeczy itd., u Andrzeja. Nie wiem już, co tam jeszcze w tym archiwum było, no w każdym razie zawsze mówił o tym archiwum, że on musi zrobić archiwum i że tylko ja mu mogę w tym pomóc. I tylko Dorotka mi pomoże w tym. No, ale ja oczywiście wiedziałam, że on się nazywa Teoś Klincewicz, więc to nie była między nami jakby jakaś tam tajemnica, pomimo że tam miał jakieś swoje – albo Teoś, o nim mówiono, albo „Borys”, miał różne. „Rafał” też miał taką ksywkę. No i potem właśnie w tym 1983 r. to był marzec, chyba był marzec, odprowadzałam go, to pamiętam właśnie dokładnie, taka była brzydka pogoda, jakoś mokro itd., do tej taksówki, no i tego samego dnia wieczorem on został już złapany. Też przez przypadek. Tam też pan Maciej Zalewski... Maciek Zalewski wtedy wpadł z Woli i został zatrzymany.

### **Artur Kłus: Nie uczestniczyła pani w tym?**

**Dorota Przyłubska:** Nie, ponieważ ja go odprowadziłam do tej taksówki, pojechałam do domu i już potem się okazało. Ja nie wiem, kto mnie poinformował o tym, kto przekazał tę informację i jak ja tą informację dostałam, bo tego nie pamiętam. No w każdym razie było wiadomo, że wszystko zamykamy, udajemy, że się nie znamy itd. Także ta nasza działalność zamarła wtedy. I potem mój mąż siedział 3 miesiące chyba, nie miał procesu, na mocy amnestii wyszedł. I po tym w swoim wyjściu jakoś się ze mną skontaktował, już też nie pamiętam dokładnie jak, w każdym bądź razie, skontaktował się ze mną. Pamiętam, spotkaliśmy się na Francuskiej, tam była taka kawiarenka po schodkach, tam bliżej ronda Waszyngtona i on mi powiedział, że on szuka miejsca na drukarnię. Potem, jak się śmiał, to był pretekst, żeby się ze mną spotkać. Ale ja następnego dnia już mu zorganizowałam to miejsce na drukarnię. To znaczy już właściwie nie ja do końca, tylko właśnie moja mama, de facto moje rodzice. Ponieważ pan Alek Janiszewski, o którym już wspomniałam, który też tutaj był na tym zdjęciu, jego teściowa mieszkała na Białołęce. To się nazywało Wiśniewo, ta część Białołęki, w takim domku. I tam rzeczywiście ta drukarnia zaczęła działać. To była starsza pani, która miała takie trochę psychiczne kłopoty, ale okazywało się, że była bardzo bystra. Tam była drukarnia, która funkcjonowała do 1989 r. Przyjeżdżali chłopcy i też przywozili tam dla tej pani od razu jakieś zakupy często itd. i tam drukowali, i Kuriera Mazowsza, i chyba nawet Tygodnik Mazowsza był jakiś czas tam drukowany. W każdym razie bardzo czynnie działała ta drukarnia. No i jak się spotkałam z moim mężem, no to zaczęłam znów... Był człowiekiem, który nie wyobrażał sobie tego, że może nie działać i pomimo że dużo rzeczy tam po tej jego wpadce okazuje się, że trochę jest... Chyba, ja nie chcę teraz kłamać, że tam coś miał ze sobą, jakieś notatki czy coś i tam trochę rzeczy wpadło. Ale jak wyszedł, to zaczął znów wszystko organizować. Oczywiście Grupy Oporu, które już przed tym funkcjonowały, to jakby reaktywował. To znaczy, może reaktywował to źle mówię, one działały cały czas, bo tam przecież było ileś osób zaangażowanych. No ale Teoś zaczął działać, no i ja zaczęłam mu oczywiście w tym wszystkim pomagać. Ale robiłam już różne rzeczy. Już wtedy do sekcji legalizacji już nie wróciłam do tego. Zresztą to już jakby troszeczkę umierało, bo już tych osób ukrywających się, czyli tych dowodów, to już było parę osób dosłownie. Więc to nie było już takie potrzebne, ale w każdym bądź razie bardzo dużo różnych rzeczy żeśmy robili. No i byłam cały czas, zaczęłam jeździć, Teoś miał mieszkanie przy Hucie, na Szegedyńskiej, więc tam też zaczęłam w tym mieszkaniu

bywać. W tamtym mieszkaniu oczywiście też się bez przerwy coś działo, to tam właściwie wchodzili, wychodzili itd. Różne rzeczy żeśmy robili. Tego było mnóstwo, bo to od wydawnictw, Teoś miał jeszcze to Wydawnictwo Rytm z tym słynnym Kotarskim Tadeuszem, razem właściwie w tym wydawnictwie działali. Potem wszystkie jakieś, czy jak były manifestacje, akcje ulotkowe, gadały. Właściwie tam cały czas, zresztą Teoś był takim gejerem pomysłów różnych. No i tam właściwie już często na tej Szegedyńskiej, ale też i tutaj właśnie w mieszkaniu moich rodziców, więc tu były różne spotkania. Teoś miał takie np. pomysły co jakiś czas, że np. wymyślił sobie, że chłopcy z Grup, którzy są młodzi i że oni tak nie mogą tylko tą działalnością i tą konspiracją i że oni się muszą rozwijać. Więc wymyślił kiedyś, że on będzie im robić takie ukulturalniające, edukacyjne spotkania. I tu się chyba u nas odbyło spotkanie z Bratkowskim, z tego, co pamiętam. Że Stefan Bratkowski tu był i jakś miał dla nich taką pogadankę. Potem pamiętam też taką śmieszną historię, to już było chyba w 1987 czy 1988 r., bo Teoś cały czas czegoś potrzebował, coś ciągle było takiego, że jest koniecznie nam potrzebne, znaczy, jemu potrzebne. I kiedyś przyszedł, wpadł tutaj, no to musiał być kwiecień i mówi do mojej mamy, a mówił po imieniu do mojej mamy Doniu – mówił tak do mojej mamy, bo mama miała takie zdrobnienie. Mówi – Doniu, musisz mi coś dać, bo jest spotkanie z Edelmanem na cmentarzu żydowskim, bo była rocznica Powstania w getcie – i tam się coś dzieje i my nie mamy drzewca do transparentu. No i niewiele patrząc, złapał za rurę od odkurzacza i pognął. No i już ta rura od odkurzacza oczywiście do nas nigdy nie wróciła.